

ALEKSANDER FIUT  
Z Tadeuszem Konwickim  
w Kolonii Wileńskiej

Istnieje przekonanie, że literatura odwzorowuje rzeczywistość. Ale równie często to przypadki życiowe zaczynają do złudzenia przypominać literacką fabułę. Tak właśnie ułożyły się moje „przygody” z Tadeuszem Konwickim. Wpierw spotykaliśmy się – jeśli wolno tak rzec – w sferze tekstowej. Otóż ja napisałem dosyć krytycznie o jego piarstwie w „Tekstach” (1973, nr 4), on natomiast, po lekturze tego szkicu, poświęconego głównie powieści *Nic albo nic*, w swoistym „rewanżu” umieścił moją skromną osobę – jako „krytyka-operatora” o „krótkim dość nieprzyzwoitym nazwisku” – w *Kalendarzu i klepsydrze*. Na ten niezasłużony zaszczyt odpowiedziałem listem otwartym. Dodam, że piarstwo Konwickiego od początku bardzo mnie fascynowało, uważałem go już w liceum za najbardziej polskiego piarza i wiernie towarzyszyłem jego twórczości, czego śladem moje studia, które mu poświęciłem. Ponadto, jako zapalony kinoman ceniłem i nadal ogromnie cenię jego filmy – uważam go za wciąż za mało docenionego, jednego z najwybitniejszych reżyserów, nie tylko w polskim kinie.

Już jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego od dawna planowałem zorganizowanie konferencji naukowej poświęconej prozatorskiej i filmowej twórczości Konwickiego. Zamiar ten udało mi się w końcu zrealizować dzięki nieocenionej pomocy Tadeusza Lubelskiego, który jest nie tylko wybitnym filmoznawcą, ale także, co było dla mnie szczególnie ważne, znał dobrze i przyjaźnił się z autorem *Małej Apokalipsy*. Moim marzeniem było, by piarz wziął udział w konferencji. Na początku Konwicki wyraził zgodę, później jednak, z powodu stanu zdrowia, odwołał swój przyjazd do Krakowa. Pozostał jednak bardzo zainteresowany naszymi obradami, które miały miejsce 27–29 października 2009 roku, a do książki pod tytułem *Kompleks Konwicki*, która gromadziła wygłoszone referaty, podarował swoje rysunki.



Figura świętego Józefa przed kościołem.



Witraż w kościele w Kolonii Wileńskiej.

Przejście ze sfery międzytekstowych spotkań z Konwickim do sfery realnych kontaktów nastąpiło nieoczekiwanie w kwietniu 2010 roku. Na zaproszenie profesora Mindaugasa Kvietkauskasa, dyrektora Instytutu Litewskiej Literatury i Twórczości Ludowej, miałem w tymże instytucie wygłosić wykłady o twórczości Czesława Miłosza. Jednakże, z powodu pogody, mój ranny odlot z Krakowa do Warszawy opóźnił się tak dalece, że straciłem połączenie do Wilna. Kiedy wylądowałem w Warszawie, do następnego wieczornego lotu miałem prawie cały dzień. I wtedy przyszła mi do głowy myśl dosyć szalona: zadzwonić do Konwickiego. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu pisarz nie tylko życzliwie zareagował na mój telefon, ale od razu zaprosił mnie do siebie. Przyjął bardzo serdecznie, oprowadził po mieszkaniu, pokazując część malarskich zbiorów jego teścia, Alfreda Lenicy, oraz słynną „niżę”, w której pisał swoje powieści. Prawdę rzekłszy, poza radością, że mogę swojego ulubionego pisarza wreszcie osobiście poznać, trochę się tej wizyty obawiałem, mając w pamięci wybuchy gniewu i złośliwe uwagi, jakimi Konwicki kwitował niektóre pytania, zadawane mu podczas wywiadów ze Stanisławem Beresiem. Tymczasem od razu wyciągnął butelkę armagnacu, jakby zgadując, że to także mój ulubiony trunek, rozlał ją do kieliszków i popijając, zaczęliśmy pogawędkę, jakbyśmy się znali od zawsze. Z dobrze udaną powagą i namaszczeniem tytułował mnie profesorem, a na moje prośby, by tego nie robił, odpowiedział: „Mnie to robi prawdziwą przyjemność. Tym bardziej że jak pan wie, ja mam wykształcenie podstawowe”. Czyli, jak przypuszczałem, okazał się człowiekiem ujmującym, uroczym, obdarzonym szczególnym poczuciem humoru, pełnym dowcipu, cienkiej ironii i autoironii. A przy tym niezwykle skromnym – skromnością właściwą jedynie ludziom prawdziwie wybitnym. Tacy byli, z osób, które miałem zaszczyt osobiście znać, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska i Stanisław Lem.

O czym rozmawialiśmy? Byłem pod świeżym wrażeniem mniej znanego, średniometrażowego filmu Konwickiego pod tytułem *Matura*, który udało się pokazać podczas naszej konferencji. Nakręcił go dla hamburskiej telewizji, w ramach złożonego z trzech nowel filmu *Czasy pokoju*, który powstał w 1965 roku. Zamysłem producenta było pokazanie pierwszego dnia pokoju po drugiej wojnie światowej. Konwicki sięgnął do swojej biografii: zdawania matury w konspiracji dokładnie w czasie, gdy do Wilna zbliżał się front. Główną postacią w filmie uczynił profesora, świetnie granego przez Gustawa Holoubka (obok niego grali między innymi bardzo wówczas młodzi Marian Opania i Damian Damiński). Profesor jest postacią zarazem tragiczną i groteskową. Tragiczną, bo mimo że wokół niego wali się jego dawny świat, stosuje wobec

swoich uczniów przedwojenne wymagania, staje się symbolem heroicznej obrony wartości, skazanych przez dwudziestowieczną historię na zatracenie. Groteskową, ponieważ zdaje się zupełnie nie dostrzegać, albo stara się nie dostrzec, że świat, który reprezentuje, skończył się bezpowrotnie, a jego podopieczni bardziej myślą o tym, co się rozgrywa na ich oczach, niż o nauce. W filmie występuje trzech chłopców, z których jeden jest autochtonem, Niemcem, ubranym w mundur hitlerowski, drugi Rosjaninem, noszącym mundur czerwonoarmisty, trzeci marzy o tym, by zostać partyzantem. Wojnę traktują jako przygodę, do momentu, gdy ginie Niemiec, zastrzelony – co nabiera symbolicznej wymowy – przez hitlerowski myśliwiec. Uderzyło mnie szczególnie – poza wyraźnymi reminiscencjami z osobistego życia reżysera – że wkroczenie Armii Czerwonej na Wileńszczyznę odbywa się pokojowo, ze współudziałem AK. Zarazem wizerunek Rosjan pozostaje w zgodzie ze znanymi stereotypami: siedzą przy ognisku i wpadając w trans, chóralnie śpiewają oraz tańczą kazaczoka przy dźwiękach harmonii. Zapytany o to Konwicki, powiedział, że w tym obrazie chodziło mu głównie o „efekt obcości” dwóch cywilizacji. Ta uwaga w pełni mnie przekonała – ten efekt z pewnością osiągnął. Film kończy wymowna scena, kiedy profesor przygląda się tańczącym Rosjanom niczym egzotycznemu plemieniu.

Związek twórczości Konwickiego z jego biografią pozostał nadal tematem naszej rozmowy. Przygotowując wówczas referat, przeczytałem na nowo *Przy budowie* – utwór przez większość krytyków i badaczy inkryminowany, uznawany za poronne dzieło socrealizmu i za dowód oportunistycznej postawy autora. Tymczasem lektura pozbawiona uprzedzeń odkryła dla mnie w tej powieści – poza socrealistycznym sztafażem – rzetelny obraz warunków życia robotników budujących Nową Hutę: bardzo uciążliwą pracę, niezwykle prymitywne warunki bytowania robotników, mieszkających zimą w źle ogrzewanych barakach, braki podstawowych urządzeń technicznych, a szczególnie ciężkiego sprzętu oraz zupełne niewykwalifikowanie robotników, którzy w większości rekrutowali się z podkrakowskich wsi, a budowę kombinatu traktowali jako szansę wyrwania się z anachronicznego rodzinnego środowiska. Zapytany o to Konwicki, potwierdził: „Istotnie tak było”. Jego praca „kopacza” przy dokonywaniu głębokich wykopów – co opisał w powieści – polegała, niczym w starożytności czy średniowieczu, na przesypywaniu łopatami ziemi z niższego poziomu na wyższy. „Byłem – dodał – robotny, w okresie okupacji ciężko pracowałem fizycznie i byłem dosyć zaprawiony”. Trudno to sobie



Dom dziadków Tadeusza Konwickiego, stan obecny.



Stacja kolejowa w Kolonii Wileńskiej.



Droga prowadząca nad brzeg dolnej Wilenki.





Mostek przez Wilenkę.



Jaz na Wilence, gdzie w dzieciństwie kąpał się Tadeusz Konwicki.



Droga w lesie nad Wilenką, obecnie park krajobrazowy.



Widok z góry na dolinę Wilenki, w głębi widać Puskarnię.



Ruiny Puszkarni.

wyobrazić, ale w tych skrajnie trudnych warunkach wytrzymał pół roku, do tego w rozłące z rodziną.

Skąd się znalazł na budowie Nowej Huty? Jak wspominał, po rozbiciu jego oddziału partyzanckiego w lasach wileńskich przez wojska NKWD życzliwi mu ludzie, pod pretekstem wykonywania rozkazu wyższego dowództwa, skłonili go do wyjazdu do Polski. Dojechał w końcu do Krakowa, gdzie zapisał się na filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale tam, jak stwierdził, czuł się dosyć nieswojo, bowiem na polonistyce dominowała płec piękna – „same panienki”. W 1949 roku przerwał studia, bo chciał zrobić coś bardziej, jak mówił, „materialnego czy namacalnego niż zajmowanie się ulotną analizą dzieł literackich”, i zdecydował się na wyjazd do Nowej Huty.

Dalej nasza rozmowa zesłała na temat związków Konwickiego z Miłozsem. Mówił, że zawsze bardzo cenił jego poezję i ogromnie żałował, że nie udało im się spotkać w Stanach Zjednoczonych. Miał też do noblisty żal o to, że nie docenił adaptacji *Doliny Issy*. Przecież, jak mówił, „chciałem mu tym filmem oddać hołd”, zwłaszcza wówczas, w 1982 roku, gdy noblista nie był zbyt dobrze widziany przez władze PRL. Tymczasem Miłosz miał pretensje o to, że realistyczny opis Konwicki zmienił w fantasmagorię, Tomaszka uczynił jednym z mniej ważnych bohaterów i wykazał się nieznaną litewskich realiów. Pamiętam – co przytoczyłem wówczas Konwickiemu – że stwierdził między innymi: „Konwicki chyba nigdy nie był w bani! Umieścił tam scenę miłosną, jakby nie wiedział, że w bani jest za gorąco, by się w niej kochać!”. Konwicki dodał, że na negatywnej opinii Miłosza mogły także zaważyć podszepty niezadowolonych mu ludzi. „Byłem świadkiem – jak mówił, opatrując swoją opinię dosadną metaforą – że podczas wyświetlania tego filmu w Nowym Jorku byli tacy, co nachylali się nad Miłozsem i szczeni mu do ucha”.

Ponieważ wybierałem się do Wilna, bardzo chciałem odwiedzić również Kolonię Wileńską oraz miejsca związane z dzieciństwem i młodością Konwickiego. Byłem tam wprawdzie z żoną, ale nie udało nam się nic konkretnego dowiedzieć – autor *Dziury w niebie* był już dla obecnych mieszkańców miasteczka postacią zupełnie nieznaną. Konwicki opisał mi zatem dokładnie, jak wygląda dom jego dziadków Blinstrubów i jak do niego trafić. Toteż podczas pobytu w Wilnie namówiłem mojego serdecznego przyjaciela, profesora Mindaugasa Kvietkauskasa, znakomitego znawcę kultury polskiej i litewskiej, na wspólną wycieczkę śladami Konwickiego. Była niedziela, dzięki czemu mogliśmy wejść do drewnianego kościółka, do którego pisarz chodził

w dzieciństwie. Sam kościółek, zabytkowy, dobrze zachowany, z pięknym witrażkiem oraz figurą świętego Józefa przed wejściem, zrobił na nas wrażenie kościoła zarazem skromnego i przytulnego. Potem, zgodnie z instrukcją Konwickiego, odnaleźliśmy dom jego dziadków Blinstrubów – dosyć nieforemny, pełen przybudówek. Wówczas ponownie zadzwoniłem do Tadeusza Konwickiego, by upewnić się, czy trafiłem pod dobry adres. Od tej chwili, przez telefon, oprowadzał nas po swoich włościach! Do dzisiaj ze szczegółami pamiętam tę niesamowitą przechadzkę!

W myśl jego wskazówek, stopniowo schodząc ulicą niżej, minęliśmy małą stację kolejową, skąd Konwicki wyjeżdżał do Wilna, potem, przechodząc przez tory kolejowe, skręciliśmy w prawo na mały mostek i przechodząc przez mały lasek, znaleźliśmy się nad Wilenką, gdzie się w dzieciństwie kąpał (ten obszar, jak mi mówił w Warszawie, został w znacznym stopniu zmodernizowany i mało przypomina stan sprzed wojny), dotarliśmy wreszcie do ruin opisywanej przez autora *Dziury w niebie* Puzkarni. Nazwa wzięła się stąd, że podczas zaboru rosyjskiego produkowano w tej fabryce nie tyle same armaty (po rosyjsku armata to *puszka*), ile część ich wyposażenia lub pociski. Na tym, niestety, zakończyła się nasza wędrówka z Konwickim po niezwykle malowniczej dolinie, przyjmującej w jego pisarstwie postać mitu, który zarazem był przez autora konstruowany i dekonstruowany.

Spotkaliśmy się jeszcze raz, 1 grudnia 2013 roku. Podaję tak dokładną datę, ponieważ pisarz opatrzył miłą dedykacją przywiezione przeze mnie *Wniebowstąpienie*. Umówiliśmy się w kawiarni Bliklego i usiedliśmy przy słynnym stoliku, przy którym Konwicki zwykł zasiadać ze swoimi bliskimi przyjaciółmi: Gustawem Holoubkiem i Andrzejem Łapickim. Konwicki z pewną melancholią stwierdził, że odkąd Łapicki się ożenił, został sam. Ku mojemu zaskoczeniu – bo nigdy w tej kawiarni nie byłem – stolik nie znajdował się w zacisznym kąciuku, lecz blisko lady, co bardzo utrudniało rozmowę. Konwicki przybył ze swoją znajomą. Rozmowa, z uwagi na schrypnięty głos pisarza oraz hałas, niezbyt się kleiła. Zapamiętałem w każdym razie jedną, jakże charakterystyczną dla Konwickiego scenę. W pewnej chwili nachylił się z filuternym uśmiechem do swojej towarzyszk i powiedział: „Niechże mnie pani nie trąca kolankiem. Trzeba mieć szacunek dla starszego człowieka”.

Po wyjściu z kawiarni serdecznie się uścisnęliśmy, jakby przeczuwając, że to nasze ostatnie spotkanie.